Nr. 36. Kraków, sobota, 14. lutego 1903. Rok II.

KURYER KRAKOWSKI

Przedplata wynosi:
w Krakowie miesięcznie 1 korona
kwartalnie 3 „
na prowincyi miesięcznie 1 k. 40 h.
kwartalnie 4 k.

Ilustrowane pismo codzienne
dla wszystkich.

Numer pojedyńczy 3 ct.

Ogłoszenia po 20 hal. za wiersz petitowy.

„Kuryer“ wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych o godzinie 2 popołudniu.

Adres Wydawnictwa:
Kraków, ul. Karmelicka l. 7. — Nr. Telefonu 494.

Redaktor:
KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.

Z niedoli robotnika.



(Opis wewnątrz numeru, str. 7).

Pogadanki pedagogiczne.

I. Pogadanka wstępna.

„Ot chłopak dobrze wychowany, a tamten, widzisz go? Ten zupełnie nie wychowany!" — mawia się zwykle, patrząc na dzieci. Każdy wtedy ma na myśli ich zachowanie się, ich obyczajność, czyli słowa te stosuje do duszy. Wychowanie jednak nietylko duszą, ale i ciałem musi się zajmować, a to z tego względu, że dusza i ciało oddziaływują na siebie wzajemnie. Z początku nawet rodzice muszą się troszczyć więcej o wychowanie ciała, niż duszy, dziecię bowiem, pozostawione bez opieki, musiałoby zmarnieć.

Wychowanie jest tak stare, jak świat, i z chwilą pojawienia się pierwszego człowieka okazała się potrzeba wychowywania, a pierwsi rodzice są zarazem i pierwszymi wychowawcami. Z biegiem czasu — im więcej ludzkość posuwała się naprzód, tem więcej poczęto zastanawiać się nad ważną sprawą wychowania dzieci; znaleźli się nawet ludzie, którzy badali specyalnie tylko te sprawy i spostrzeżenia swe notowali. Tak wytworzyły się pewne stałe prawidła i powstała nauka o wychowaniu, która nikomu obcą być nie powinna.

„Wiele rodziców — powie ktoś — nie wie nawet o tem, że istnieje jaka nauka o wychowaniu, a przecież dzieci swe wychowują i niejednokrotnie wychowują dobrze!"

Prawda to! Zmysł wychowywania tkwi w każdym człowieku i najbardziej ograniczonym rodzicom nie można zaprzeczyć planu w wychowywaniu swych dzieci — nieraz też udaje się rodzicom plan dobrze ułożyć i przeprowadzić, a to najczęściej na podstawie tego, jak sami byli wychowywani; ale czyliż dlatego, że ktoś skoczył z I-go piętra i nie złamał nogi, mamy i my, zamiast iść po schodach, skakać za nim?

Wychowywać — to znaczy doprowadzić do jakiegoś celu, a ten, kto nie zna tego ostatecznego celu, kto nie wie, jakie środki do niego prowadzą, nie potrafi wychowywać. Umiejętna zatem systematyczność jest koniecznym, stałym warunkiem prawdziwego wychowania.

Dzisiaj, kiedy nauki wszystkie postępują coraz więcej, a przytem, kiedy coraz więcej ludzi pragnie czerpać z nich, a liczne popularne wydania ułatwiają to — jedna tylko nauka o wychowaniu, aczkolwiek najwięcej wymagająca rozpowszechnienia, najmniej posiada dziełek, dostępnych szerszym warstwom ludzi. Z tego względu postanowiła Redakcya „Kuryera Krakowskiego" w krótkich pogadankach dać najgłówniejsze wskazówki, jak wychowywać dzieci i zapoznać Czytelników z prądami, jakie obecnie panują w wychowaniu. — Będzie to nowość, którą — mamy nadzieję — rodzice ze względu na swych milusieńkich, chętnie powitają.

Jf. C-cz.

Kredyt.

Siedzi pyszny, zarozumiały i milczący. Do nóg mu się chyli biedny terminator stolarski i prosi:

— Dajże mi, Wielmożny Panie, parę butów, bo zimno, bosiuteńki jestem.

Lecz on ani słyszy... Bosych nie zna. Kłania mu się pokornie czeladnik szewski i wynurza prośbę:

— Nie mam roboty, bo majster bankrutuje, głodny jestem, dajże, Wielmożny Panie, na obiadów parę.

Lecz on ani drgnie. Głodnych nie rozumie. Staje teraz majster blady i zbolały.

— Ulituj się, szepce dławionym głosem, właśnie przez ciebie straciłem wszystko, kazałeś dawać robotę, nie płacili, teraz i ja w nędzy, daj choć na mieszkanie.

A on nadęty, wielki, opasły uśmiecha się złośliwie.. Złamanych niedolą nie rozumie.

Wciska się nieśmiało, z rumieńcem na czole dyurnista, ojciec sześciorga dzieci.

— Wesprzyj mię, poratuj, błagalnie powtarza — ciągle mrzemy, a zginąć nie możemy. Choroby nas prześladują. Daj na lekarstwo.

Lecz on każe wyprowadzić kaszlącego suchotnika. Chorzy nie interesują go.

Wtem z szelestem, śmiechem, wonią, wbiega dama, lśniąca brylantami. Nie prosi, lecz każe.

— Daj na jedwabie, gazy, koronki, na róże z Neapolu i przysmaki wyborne..

A on daje... Wyciąga rękę i sypie, ile trzeba.

Za damą gwiżdżąc wchodzi „Pan".

— Trzeba na wino, szampany, balety, karty, protekcye...

I on daje... Rzuca papiery za papierami... Każdy bank wypłaci, ile trzeba, każda kasa znajdzie gotówkę...

Głodni, chorzy, nędzni, bosi, niechże do niego drugi raz nie idą, bo on ma swoich i swoim służy...

Siedzi pyszny i czeka...

Czy nie znacie go? To „jasny pan" Kredyt!

Pewna.

Miłość i małżeństwo.

U nas prawo jest dla kobiet nieco bezwzględne, nie broni ich wcale przed tem, aby nie były igraszką w ręku lekkomyślnych, lub złośliwych donżuanów i niestałych narzeczonych, wskutek czego ponoszą one częstokroć szkodę na honorze i majątku. Inaczej ma się rzecz w Anglii. Wszystkie prawie procesy o niedotrzymanie przyrzeczenia małżeńskiego — kończą się zasądzeniem strony pozwanej na wypłacenie odszkodowania. Dla mężczyzn jest tam o tyle jeszcze niewygodniej, że wszyst-

ZA SZCZĘŚLIWI.

(Opowiadanie z przeszłości Piotra Mariegera).

Tłomaczył

J. A. S.

Spojrzeniem i uściskiem zdawała się mówić:

— A czyliż mój Glaukos nie jest najlepszym i najprzystojniejszym z mężów?...

— Nie patrz na mnie takiemi oczyma, moja pszczółko*), bo w łonie mem budzisz piekielne żądze, a wiesz przecież, co powiadają ludzie z morzem obyci. Statek winien być wolnym od składania ofiar Wenerze, raz dlatego, że jest święty, powtóre, że jedna deska dzieli nas od śmierci; nie godzi się wobec jej majestatu żartować.

Charikleja zdawała się nie słyszeć słów męża.

— Twierdzisz tedy, — przerwała, — że jesteśmy za szczęśliwi. Boisz się zazdrości bogów?

— To ty powiedziałaś — z uśmiechem odparł Glaukos, starając się przenieść zuchwałe słowa na żonę, jakby w obawie podsłuchania.

— Pociesz się — mówiła żona — bogowie uczuć zazdrości nie miewają; za to ja mam jedno życzenie, na którego spełnieniu tak wiele mi zależy, że gdybym wątpiła w możebność tego, byłby to kolec róży, wepchnięty w serce.

— Cóż to za życzenie, do którego tak wielką przywiązujesz wagę? spytał Glaukos nie bez zdziwienia.

— Oto, kiedy nadejdzie kres nasz, wcześniej czy później, abyśmy mogli umrzeć razem; pomyśl tylko Glaukosie, co za nieszczęście byłoby, gdyby jedno z nas wyprzedziło drugie. Oh! bogowie, ileż razy błagam was o odwrócenie takiej biedy.

— Strzeż się — przemówił na seryo mąż — nie można lekceważyć rzeczy poważnych. Śmierć i życie spoczywają w łonie bogów, a dla nas jest to tajemnicą. Kiedyś możesz gorzko żałować twej dzisiejszej prośby, którą niebieskie potęgi wysłuchać mogą.

— O nie, nigdy — zawołała Charikleja. Śmierć niech przyjdzie kiedybądź i jak chce, byleśmy znaleźli się wspólnie w jej objęciach.

Przy tych słowach odsłoniła zasłonę namiotu. Przed niemi roztaczało się morze, którego zielonawe fale lśniły się od blasku słońca. W oddali szczyty gór jakiejś wysepki wpijały się w błękit nieba, a na północnej stronie widnokręgu pasmo ciemnych chmur odbijało się na lazurze.

— Bogowie, — zawołała Charikleja, podnosząc ręce ku niebu — siły niebieskie! czy znalazła posłuchanie prośba moja u was? Jeżeli tak, ześlijcie widomy znak waszego potwierdzenia.

Stanęła u samego wejścia do namiotu, okiem rzucając pytanie swoje w przestworze.

Glaukos podążył za nią i stanął w głębi, ukryty w cieniu, śledząc kierunek jej wzroku; nawet mały Kalias, jakby w oczekiwaniu czegoś, stanął za matką, przerwawszy sobie zabawę.

Z wnętrza ciemnych chmur, jak iskra, przemknęła ognista wstęga, wężowato obejmując czarne olbrzymy. W ślad za nią, głuchy łoskot dalekiego grzmotu napełnił powietrze i współcześnie niemal trzy białe ptaki, dwa duże, jeden mniejszy, zawiodły krąg nad statkiem, szybkim lotem wzbijały się ku górze, jednakowe kreśląc koła i coraz niewyraźniejszemi się stając w przestworzach błękitu.

— Patrz — zawołała Charikleja głosem

*) Wyrażenie, stosowane do kobiet. Nie należy jednak sądzić, iżby nazwa ta miała być alluzyą do niewieścich żądełek; bynajmniej, stosowała się ona do słodyczy, jakich mężczyzna doznawał w pożyciu z dobrą kobietą. (Przyp. aut.)

kie tego rodzaju sprawy idą przed trybunał przysięgłych, którzy tylko bardzo rzadko umieją skutecznie opierać się czarowi łez i lamentów niewieścich.

Nie zawsze jednak pokrzywdzona niewinność udaje się na drogę sądową. Częściej niewierny narzeczony sam prywatnie zaspakaja pretensye i uśmierza boleść zawiedzionej pewną sumą funtów szterlingów, ale i wówczas nie umie częstokroć uniknąć upokarzających warunków, szczególniej jeżeli dama trafi się energiczna i świadoma przewagi, którą zabezpiecza jej prawo. Losowi takiemu uległ niedawno młody syn pewnego, bogatego obywatela w Jorshire, który zakochał się w prima-balerinie wędrownego cyrku, a następnie w tajemnicy przed ojcem dodał jej do serca jeszcze i rękę swoją. Kiedy zrozumiał, że popełnił piramidalne głupstwo, było już zapóźno. Dzielna, bowiem a wytrawna primabalerina nie zadowolniła się samą wypłatą pokaźnego odszkodowania, ale zażądała jeszcze, aby niewierny adorator objechał w arenie jej cyrku na niewytresowanym koniu. Na szczęście biedny młodzieniec był dobrym jeźdźcem i zadaniu podołał.

Nie o wiele lepiej wyszedł pewien młody lekarz, cieszący się w Londynie wielką wziętością. Flirt z pewną kelnerką doprowadził go nieopatrznie aż do oświadczyn. Młoda dziewczyna zażądała, kiedy wielbiciel jej powrócił do rozumu, wypłacenia jej bardzo poważnego odszkodowania, a nadto postawiła warunek, aby młody eskulap z uczernioną twarzą udawał w pewnej miejscowości kąpielowej, w środku sezonu, murzyna. Biedny doktór zapewniał znajomych, że ta maskarada jego jest wynikiem zakładu, ale prawda wyszła prędko na jaw ku rozweseleniu wszystkich kuracyuszów.

Pewien pułkownik w armii angielskiej zawdzięcza swoje stanowisko tylko gniewowi swojego niedoszłego teścia, który mszcząc zawiedzione nadzieje swej córki, a nie mogąc mieć nadziei na żadne pieniężne odszkodowania ze strony tyle niezasobnego, ile niewiernego konkurenta, zażądał od niego, aby jako zwyczajny żołnierz wstąpił do wojska.

W pewnem angielskiem mieście prowincyonalnem zdarzyło się, że konkurent chcąc otrzymać zwolnienie od przyrzeczenia małżeńskiego, wszedł publicznie do klatki w menażeryi, gdzie w towarzystwie lwów i tygrysów wypił flaszkę wina.

Na większe jeszcze jednak bohaterstwo zdobył się pewien młody duchowny kościoła anglikańskiego. Matka i córka zagroziły młodemu duchownemu wytoczeniem skandalicznego procesu, a ponieważ wiedział, że wówczas przyszłoby do odczytania kilku jego listów treści nie zupełnie pobożnej, zapytał raz swoją przyszłą teściowę, czy rzeczywiście nie ma już dla niego innej drogi wyjścia. „Owszem, ożeń się pan ze mną — brzmiała krótka, ale stanowcza odpowiedź". I został.. bohaterem!

Ideał męża był i jest ciągle przedmiotem badań i dociekań najrozmaitszych umysłów i celem pragnień najrozmaitszych serduszek. Niedawno jeden z dziennikarzy amerykańskich, zapytywał w tej mierze o zdanie kilka paryżanek. „Idealny mąż poświęca życie swojej żonie, o niej myśli przedewszystkiem, dla niej pracuje, ona jest jego ostatecznym celem. Wszystko co przedsiębierze ma wyłącznie na celu zabezpieczenie jej szczęścia i piękności". Takimi to jasnymi kolorami maluje sobie obraz idealnego męża młoda panna, wprowadzona niedawno w świat.

Pewna mężatka, błyszcząca wszystkiemi kobiecemi cnotami i zadowoleniem ze swego męża powiada: „Idealny mąż pozostawia swej żonie wolność. Nie miesza się do jej obowiązków domowych i drobnych zamiłowań kobiecych, nie sadzi się na grzeczności, komplementy dla niej, oszczędza jej rad swoich, rzadko czyni wyrzuty, nie wspomina nigdy o tem, że powinna mu być wdzięczną, nie wymaga od żony, aby była wzorem cnót i gospodarczości. Kiedym była młodą dziewczyną, marzyłam o małżeństwie, jako o słodkiej niewoli. Teraz domagam się: wolności i jeszcze raz wolności. Mąż i żona nie powinni żyć wyłącznie dla siebie, i nie troszczyć się o drugich. Żona nie powinna nigdy, nawet najbardziej kochającemu i kochanemu mężowi pozwalać na ciągłe adoracye. Może nastąpić nadmiar i przesyt. Bardzo wiele rozumu i pewien szacunek między małżonkami zapewniają najlepiej trwałość i siłę ich miłości. Jeżeli zaś żyją ze sobą za blizko, prędzej czy później stosunek się ochłodzi, a nawet może wyłonić się potrzeba rozłączenia się".

Żona pewnego dorabiającego się malarza powiada: „Idealny mąż nie może być geniuszem. Nic bardziej nie monopolizuje człowieka, jak zamiłowanie do sztuki, do poezyi, lub nauki. Wszystkie jego myśli są zawsze skierowane do jednego z tych celów, a dla małego stworzonka, które żyje obok niego nie w chmurach, ale na ziemi, pozostaje bardzo niewiele. Powracając ze swoich wyżyn, rzuca niższemu stworzeniu spojrzenie politowania, a częstokroć pogardy. Dla mnie ideałem męża jest człowiek, któryby żył dla mnie, tak jak ja dla niego żyję. Kocham wielkich mężów, wielkich poetów, muzyków, rzeźbiarzy i malarzy, ale nie chciałabym być żoną wielkiego człowieka".

Młoda, niebrzydka i bardzo sympatyczna osóbka powiada: „Idealny mąż nie powinien być piękny, ale musi być natomiast subtelny, wesoły, śmiejący się, któryby mi nigdy, w razie mego niezadowolenia, nie powiedział: „A widzisz, czy nie mówiłem!", lecz któryby mnie pocieszał i starał się usunąć powody mego smutku".

---

pełnym radości — moja prośba wysłuchana. Uklękła, rozkrzyżowała ręce i rzekła: Przyjmuję to za dobry znak.

Grzmot rozległ się znowu.

— O ile jednak pamiętam — zauważył Glaukos, — ptaków było trzy, z tych jeden mniejszy...

— Być może — ciągnęła dalej Charikleja, biorąc męża za rękę, iż życzeniem bogów jest, abyśmy umarli niedługo, wszakże Kalias byłby dzieckiem; w takim razie przyjmuję to za znak dla niego; pozwól mu podążyć za nami.

Chociaż zdarzenie powyższe niemałe na Glaukosie zrobiło wrażenie, nie uszło jednak jego uwagi poruszenie, jakie zapanowało na pokładzie. W tylnej części okrętu, w miejscu przez sternika zajętem, wszczął się ruch i ożywiona rozmowa; młodzi niewolnicy z wyrazem niepokoju na twarzy biegali z jednego miejsca na drugie, a nawet starsi ciekawem okiem spoglądali ku morzu.

— Co się stało? — zapytał Glaukos.

— Na morzu widać maleńki statek, który zdaje się nas ścigać.

Glaukos poszedł do sternika.

— Od czasu, kiedyśmy koło Rhodosu przepływali — mówi sternik — statek ten bezustannie za nami podąża; kilkakrotnie zmieniałem kierunek okrętu i za każdym razem spostrzegałem, iż owo czółno czyni to samo. To mnie naprowadza na smutne przypuszczenie, że jestto okręt morskich rozbójników.

— Hej egipcyaninie, zawołał Glaukos, — zbliż się.

Ten, którego tak wołano, był łysym i zgarbionym, o siwej brodzie starcem. Nazywano go egipcyaninem dlatego, iż przez długie lata odwiedzał egipskie miasta, jak Buziris, Bubastos i inne.

— Co myślisz o tem? zapytał go Glaukos, wskazując mu maleńki punkcik na morzu.

— Myślę, że to daremne strachy — wyrzekł krótko zapytany.

— A jak sądzisz — ciągnął dalej Glaukos — co za rodzaj statku to może być.

— Ja myślę, że to jest myopara.

Myoparami nazywano maleńkie czółenka, używane przeważnie przez wyspiarzy. Dawniej odbywano na nich wyprawy zbójeckie, celem napadu na okręty handlowe, później jednak dosłużyły się one obywatelstwa na posługach szlachetniejszego gatunku. To też uwaga Egipcyanina nie przeraziła nikogo.

— Zwyczajna rzecz, — mówił kupiec fenicki, głaszcząc się po brodzie, że małe czółna chętnie za wielkiemi płyną. To im zabezpiecza pomoc w razie jakiego wypadku.

— To mnie nie przekonywa wcale, — wtrącił jeden z podróżnych. Gatunek statku nie świadczy o jego żeglarzach, a złodziej i rozbójnik mogą się kryć na łódce, wydartej uczciwemu jej właścicielowi.

— Pozwolisz, panie — zapytał Glaukosa jeden z młodszych, o sprytnem wejrzeniu, niewolników, abym i ja słówko dorzucił.

Glaukos skinął ręką na znak potwierdzenia.

— Zdaje mi się, — mówił, że sternik ma racyę, podejrzewając naszego gońca. Jeżeli to jest w istocie łódź lekka, to łatwo mogłaby nas dogonić, jeżeli zaś tego nie czyni, to ma w tem jakiś cel i to niezupełnie ufność budzący. Okażą się zresztą niedługo ich zamiary.

Rozmowy i debatowania, tyczące się owej nieznanej łodzi ciągnęły się dość długo, bo do zachodu słońca. Na zachodzie ognista kula rozlała dokoła blask, co oświeciwszy niebo, spadał na fale morskie, wyzłacając brzegi zagłębień ruchomej masy. Nad okrętem rozpostarła się płachta chmur odmiennego kształtu i koloru, co na podobieństwo mięszaniny ciemno-niebieskiej barwy z białą zalewała lazurowe tło. Okręt sunął wolniej, wiatr bowiem ustał. Wioślarze

Wszystkie więc kobiety domagają się od ideału męża, aby był wyrozumiały, szlachetny, dzielny, szczery i wierny — i więcej, niż średniego wzrostu. Żadna nie domaga się, aby był ideałem piękności. Jedna z nich w ten sposób wyjaśnia: „Mąż nie powinien być bardzo piękny, ponieważ nigdy nie może być skończenie piękny jako mężczyzna. Może być jeszcze gorzej, jeżeli sam się uważa za pięknego. Od takiego męża niech Bóg broni kobietę".

„Idealny mąż — powiada inna — nie powinien być nigdy śmiesznym, nie może się nigdy ośmieszyć, ponieważ miłość kobiety przetrwa wszystko, ale nigdy śmieszności mężczyzny".

KRONIKA.

Kraków, 13 lutego.

Kalendarzyk. Dziś Katarzyny R. i Juliana. Jutro Walentego kapł. Pojutrze Faustyna.

Dziś o godz. 8 rano — 3·5° C.

Repertoar teatru miejskiego w Krakowie.

W sobotę „Panna służąca" (Nelly Rosier), krotochwila w 3 akt. P. Bilhauda i Hennequina (nowość).

W niedzielę o godz. 3 „Sen nocy letniej" (po cenach zniżonych). Wieczorem „Panna służąca".

Szalała wczoraj burza w naszem mieście i to nie lada jaka! Do rozpaczy przyprowadzał wszystkich deszcz, który nad wieczorem koło godziny piątej zmienił się w rzęsistą ulewę. Dał się przechodniom niemało we znaki wicher, który rozhulał się po godzinie ósmej na dobre i spowodował niezwykły, niebywały w naszem miasteczku wypadek.

Wicher zerwał ogromny, dziesięciometrowy, szyld składu mebli i luster, umieszczony między pierwszem a drugiem piętrem na domu p. Schudmaka w Rynku głównym l. 11, tuż naprzeciwko kościoła św. Wojciecha. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności z powodu spóźnionej, jak na Kraków pory, nie przechodził nikt podczas katastrafy w tem miejscu i cały wypadek ograniczył się na razie do tego, że spadający szyld przerwał drut telefoniczny, łączący ową kamienicę z wieżą ratuszową.

W tej chwili dopiero rozpoczęło się ciekawe, choć łatwe do wytłómaczenia zjawisko. Drut spadając oparł się na przewodach tramwaju elektrycznego i zwieszał się na nim, leżąc środkową częścią na bruku Rynku. W jednej chwili ukazały się na całej linii od kościółka św. Wojciecha do wieży formalnie płomienie, gdyż motorowa siła elektryczna, poruszająca wozy tramwajowe, uchodziła gwałtownie przez drut telefoniczny do ziemi.

Rynek był pusty i drut spadając dotknął koło Sukiennic, w pobliżu ulicy Brackiej, tylko jedną osobę, i to bardzo lekko, nieznanego kilkunastoletniego chłopca. W mgnieniu oka chłopak, porażony, upadł na ziemię, na szczęście w bok, tak, że drutu nie dotykał. Przechodzący studenci medycyny postawili go oszołomionego, lekko poparzonego na nogi. Prąd poraził także lekko robotnika przechodzącego koło kościoła św. Wojciecha. Jedyną ofiarą wypadku stał się pies, legawiec, który, oplątany przez drut, padł na miejscu od uderzenia prądu. Światło elektryczne było tak silne, że chwilami cała połać Rynku stała całkiem w silnem świetle błyskawicznem, a w pewnej odległości od zerwanego drutu zebrały się po chwili gromadki przechodniów, przypatrując się niezwykłemu zjawisku świetlnemu.

W kilkanaście minut po wypadku światło znikło, gdyż na stacyi centralnej tramwaju prąd zamknięto. Wkrótce potem przybyła służba tramwaju i usunęła zetknięcie drutów. Na centralnej stacyi telefonów, wskutek przeładowania prądem drutów, zaczęły się odzywać wszystkie dzwonki i pospadały klapy numerowe, co się wydarza tylko wyjątkowo podczas burz gwałtownych.

Ze względów natury czysto technicznej dopiero w jutrzejszym numerze podamy rycinę tego wypadku, wykonaną przez jednego z naszych artystów-malarzy.

Subkomitet komisyi inwestycyjnej pod przewodnictwem wiceprezydenta dr. Lea obradował wczoraj na posiedzeniu oficyalnem o potrzebach, jakim ma odpowiadać nowy gmach magistratu.

Robiłby nam ktoś może zarzut, że dla zyskania popularności utyskujemy wciąż na nieporządki, jakie panują, a względnie dopiero teraz zapanowały w naszem mieście. Aby uniknąć tego rodzaju zarzutów, przytaczamy dosłownie to, co pisze wczorajszy wieczorny „Czas", ten sam „Czas", który jest organem, stronnictwa stojącego dziś u steru rządów miasta. Otóż „Czas" pisze:

„Skargi na nieporządki w mieście, na zaniedbanie ze strony organów zarządu miasta, stały się niemal komunałem. Są jednak części miasta szczególnie uprzywilejowane w odwrotnem i negatywnem znaczeniu tego słowa. Daremne bywają zachody i starania, właściciele i mieszkańcy takich ulic, jak gdyby nie należeli do miasta Krakowa i nie opłacali dodatków do podatków miejskich, nie otrzymują w najbardziej naglących sprawach odpowiedzi na podania choćby rok cały".

Podobno na ul. Zwierzynieckiej przez całą noc ma krążyć stójkowy i przestrzegać porządku tem bardziej, że tuż za mostem na Rudawie jest miejska rogatka akcyzowa. Zdaje się jednak, że stójkowi, którzy pełnią służbę w tej okolicy, lekceważą swe obowiązki, gdyż ubiegłej nocy, kiedy na pana S., wracającego wraz z żoną koło godz. 12 do domu, napadło kilku podochoconych panów, mimo wołania, krzyków i gwizdania, nie zjawił się żaden z zaopatrzonych w półksiężyc aniołów stróżów.

Gdyby nie pomoc przechodniów, byłby zapewne p. S. do dziś dnia nosił pamiątkę bezpieczeństwa publicznego w Krakowie na swem ciele w postaci sińców, albo ran, ponieważ jeden z napastników groził mu nawet nożem, skoro stanął w obronie swej żony.

Ciekawe istotnie są porządki, jakie obecnie zapanowały w naszem mieście!...

„Zawsze one". Musimy znów powrócić do tego tematu, który dla kronikarza mógłby stale służyć do zapełnienia kilku szpalt dziennie.

Zarząd spółki tramwajowej nie troszczy się wcale o stan wozów, które wysyła na linię. Niektóre z nich mają tak słabe hamulce, że, mimo zupełnego powstrzymania siły pociągowej i mimo hamowania, prowadzący wóz nie jest w stanie zatrzymać go w miejscu, co zwłaszcza w wązkich, a silnie uczęszczanych ulicach, jak n. p. Siennej, Floryańskiej, lub Szewskiej, oraz na Kazimierzu może lada chwila spowodować wypadek, którego ofiarą padnie życie ludzkie, jeśli „szczęśliwym" zbiegiem okoliczności wypadek nie skończy się „tylko" na kalectwie.

Trzebaby więc, aby zarząd spółki tramwajowej zwracał baczniejszą uwagę na wozy, które daje do użytku publiczności!

Po co właściwie na Plantach między ulicą Szewską, a Szczepańską leżą od niepamiętnych czasów, bo prawie od jesieni, olbrzymie kupy piasku i szutru, skoro nikt nie zaczyna żadnych robót, do których byłyby one potrzebne, tego sobie nie potrafi chyba żaden krakowianin wytłómaczyć.

Jeśli bowiem zarząd plantacyi dba o to, aby niedorostki miały sposobność bawić się piaskiem, albo, przy obecnym braku kasztanów, prowadzić wojnę na kamienie, to powinien w jakiemś mniej uczęszczanem miejscu urządzić taki hipodrom, choćby ze względu, aby przechodnie nie potrzebowali nocą rozbijać się i potykać o rozmaite forty i piece do pieczenia ciastek z piasku, wzniesione przez nieletnich architektów, a dniem nie byli znów narażeni na ciosy kamieni, gwizdających w powietrzu, na które nasi angliczkowie i boerkowie toczą bezustanne boje!..

Z życia naszych rękodzielników. Zjednoczone cechy brązowników, kotlarzy i mosiężników odbyły walne zgromadzenie, w którem brał udział komisarz rządowy pan Podobiński i instruktor z ramienia ministerstwa handlu, p. Schoenell. Zgromadzenie to ograniczyło się do udzielenia zarządowi cechu absolutoryum za czynności w roku ubiegłym i omówiania kwestyi

---

zasiedli do pracy, pieśń monotonną nucąc, statek mknął szybciej.

Inaczej zachowywano się na małej łodzi; snadź znajdujący się na niej ludzie wszystkich sił dokładali, aby doścignąć okręt Glaukosa; przestrzeń między statkami zmniejszała się ustawicznie, coraz widoczniejszy stawał się punkcik czarny i w niedługim czasie ujrzano dokoła łodzi wodę spienioną, — jasny był znak, jak się spieszono. Nagle z grona zebranych na pokładzie wyrwał się okrzyk:

— Zginęliśmy. Poznaję zdaleka statek zbójecki. To Tyamos, byłem już raz w jego rękach i ledwo uszedłem śmierci.

Słowa te sprawiły przerażenie, — na pokładzie zawrzało od strachu. Jedni byli w oczekiwaniu śmierci, inni, łamiąc ręce, rozpaczali o swem położeniu, sądząc w naiwności, że się tym sposobem obronią, ten i ów zmykał pod pokład, z myślą ukrycia się, a niektórzy radzili spuścić co rychlej łódź na morze i ucieczką ratować się od niechybnej śmierci. Łódź rozbójników, siłą wszystkich wioseł parta, zbliżała się.

(Dokończenie nastąpi).

nowego statutu, względnie zmian, jakie w dawnym należałoby przeprowadzić, poczem załatwiono sprawę wyborów. Starszym cechu prawie jednogłośnie został p. Piotr Seip, podstarszym p. Jan Gregorczyk, a do wydziału weszli pp. Jarra, Kopaczyński, Czunko i Gertler. Komisyę kontrolującą tworzą na rok bieżący panowie Jarra i Czunko.

Nie poradzisz! Tam, u Immerglucka na Zwierzynieckiej, kędy do późnej nocy rozbija się „artysta" na rozstrojonym, jak nerwy śledziennika, „fortepiecu" siedział sobie, bo przecie nikomu innemu, pan „Walanty", majster kunsztu szewskiego i pan „Jantoni", cudownie wykonywujący beczki na zamówienie.

Przy fortepianie mała grupka gości śpiewała niezbyt dobranymi głosami kuplecik, ułożony przez jednego z zakochanych obecnie w Zwierzyńcu humorystów:

„Krakowskie my andrusy
„W werdebie zawsze dzielni,
„Dłoń mamy do wybitki
„I mamy ją do kielni!

„Czy który z nas jest Felek
„Czy Kazek, czy też Antek
„Ma ciąg do „Telegrafu"
„I cygarfabrykantek!...

a pan „Walanty" z panem „Jantonim" gwarzyli sobie:

— Tak ci ono jest! Babo było głupio! Chyciło się morowca, męża puściło w trombę, a teraz ci ją przymkli w jakim Lometierze, czy innym takim „ulu"...

— Zwyczojnie, jok kubita! Chcący, takiej nie poradzisz!...

Podsłuchał to nasz metr od „michałków", który zagląda do Immerglucka z powodu jakichś finansowych stosunków stałego pokrewieństwa, spisał i twierdzi, że była to rozmowa polityczna na temat b. księżny Ludwiki saskiej.

Czytelniku, Czytelniczko, spróbuj mu wytłómaczyć, że się myli... Gwarantujemy ci, że... nie poradzisz!...

Kawiarze i fryzyerzy. Wczoraj po południu w lokalu „Koła mieszczańskiego" odbyło się walne zgromadzenie Stowarzyszenia kawiarzy pod przewodnictwem p. Maryi Pietroniowej i Nimfy Czarneckiej, które przedłożyły zamknięcie rachunkowe z ubiegłego roku. Z zestawienia, które otrzymało aprobatę komisyi kontrolującej, okazuje się, że dochody Stowarzyszenia wynosiły 1.934 kor. 72 halerzy, a rozchody 602 kor. 64 hal., wobec czego majątek Stowarzyszenia zwiększył się o 1.332 kor. i 8 halerzy.

Uczestnicy zgromadzenia wyrazili wydziałowi uznanie za tak wzorową gospodarkę, i przez aklamacyę powołali na dalsze trzechlecie jako przełożoną (starszą cechu) p. Pietroniową, a podstarszą, p. Czarnecką, wzywając równocześnie na członków wydziału p. Sauera i panie, Anielę Fakody, oraz Helenę Kummerową. Zastępcami członków wydziału zostały, p. Migdzińska, Trzecka i Dutkiewiczowa.

Zgromadzenie w dalszym toku obrad ofiarowało przełożonej wynagrodzenie za pracę w zarządzie funduszów stowarzyszenia, a obdarowana przeznaczyła je na fundusz wsparć ubogich starców i staruszek kawiarzy.

Na zgromadzeniu reprezentowali rząd komisarz dr. Leinkram, i inspektor przemysłowy p. Schönett.

Wczoraj odbyło się także przedwyborcze zgromadzenie fryzyerów i to... w restaracyi p. Mandelbauma. Zgromadzenie to, w którem katoliccy fryzyerzy wzięli bardzo słaby udział, ostro wystąpiło przeciw dotychczasowej gospodarce swego wydziału, zarzucając mu lekkomyślność w szafowaniu groszem stowarzyszenia.

Walne zgromadzenie fryzyerów, które odbędzie się niebawem, zapowiada się już dziś burzliwie.

„A kto chce zięcia mieć, ten musi tylko chcieć", opiewa przetrawestowany nieco kuplet z „Barona cygańskiego" i istotnie mówi on prawdę. Zięcia, o ile tam człek nie dba, jakim on będzie, można znaleźć na poczekaniu. Do rzędu takich, byle jakich zięciów należy także Antoni Plewniak, czeladnik ślusarski, zamieszkały przy ul. św. Wawrzyńca pod l. 1, który wszczął spór z żoną i teściową, a uważając, że argumenty, zwane siłą pięści, znajdują wszędzie uznanie, rozpoczął bójkę z swą „famielją". Koniec tej wojny domowej był bardzo przykry, bo i żona Plewniaka i teściowa, poranione nożem, po prowizorycznem zaopatrzeniu przez pogotowie Towarzystwa ratunkowego, które sąsiedzi zawezwali nu plac boju, dostały się do szpitalu św. Łazarza, a sam Plewniak, choć pokaleczone przezeń kobiety, zostawiły na nim ślady obrony własnej, dostał się znów do „ula", jak to delikatnie nazywa każdy rodowity krakowianin instytucyę aresztów policyjnych.

Oskarżona o podpalenie, Małgorzata Jurkowa, która stawała wczoraj przed tutejszym trybunałem przysięgłych, została uwolnioną od winy i kary.

Z jedynastu świadków, jakich prokuratorya powołała dla udowodnienia winy Jurkowej, jeden tylko włościanin Ropa zeznawał na niekorzyść obwinionej, a reszta, dziesięciu, nie byli wstanie powiedzieć coś takiego, coby udowadniało, że Jurkowa, a nie kto inny, podpaliła gospodarstwo swego męża. To też ława przysięgłych, opierając się na tych zeznaniach, oświadczyła, że uważa podsądną za niewinną, a trybunał wyrok ten prawnie zatwierdził.

W „Gwieździe" krakowskiej zapowiedziano na sobotę 14 lutego zabawę taneczną, kostyumową, która zapowiada się znakomicie, bo do tej pory zgłosiło swe przybycie blizko stu „kostyumowców" i „kostyumowczyń", a spis tych toalet, którego naturalnie nie wolno nam zdradzić przed czasem, pozwala wnosić, że w Krakowie są jeszcze panowie i panie, mający i dobry gust i dowcipne pomysły.

Wieczorek ku uczczeniu pamięci bohaterów powstania styczniowego odbędzie się dopiero 1 marca, ponieważ wydział „Gwiazdy" chce, aby pod każdym względem i wykonanie i program był godny tej uroczystości.

W domu robotniczym przy ul. św. Tomasza, urządza grono młodzieży „Przyjaźni krakowskiej" w niedzielę 15 lutego wieczorek wokalno-muzykalny, który zakończy komedyjka w jednym akcie, pod napisem: „Niemam czasu". Po wieczorku odbędzie się zabawa taneczna.

Nekrologia.

† Józef Rekucki, zastępca naczelnika stacyi kolei państwowej, zmarł dnia 12 b. m., przeżywszy lat 43.

† Stanisław Józef Rawicz Twaróg, uczestnik powstania z roku 1863, były starszy prof. gimnazyalny, inspektor szkół ludowych miejskich w Krakowie, zmarł w d. 12 b. m., przeżywszy lat 65.

† Józefa z Hartingów Bojko zmarła w wieku lat 37, dnia 11 b. m.

Katastrofa w Strzyżowie. O katastrofie pod Strzyżowem, o której wczoraj podaliśmy wiadomość, piszą do „Słowa Polskiego":

Razem, ile dotychczas wiadomo, utonęło 28 osób. Wiadomość tę otrzymałem od naczelnika stacyi w Frysztaku, albowiem byłem osobiście przy aparacie, gdy naczelnikowi stacyi liczbę tych, co utonęli, z Strzyżowa telegraficznie podano.

Człowiek jeden, który córki swojej na brzegu oczekiwał, widząc, że nie może ją uratować, apopleksyą tknięty na drodze umarł.

Inny korespondent pisze: Strzyżów jest, jak wiadomo, zamknięty z trzech stron, a najważniejszy punkt południowy i trakt do Brzozowa, który przecina rzeka Wisłok, jest prawie w mieście, na rzece zaś niema mostu, którego brak sprawia że cała okolica musi przeprawiać się jednym jedynym promem. Dzierżawcą tego promu jest p. Rubin.

Na środku rzeki prom stanął, a Rubin począł wybierać od obecnych należytość za przewóz. W tej chwili kry nagle ruszyły i prom poszedł z wodą. Ludzie poczęli się chwytać lin, które pękały z trzaskiem. Kilkanaście osób wskoczyło do wody i te jeszcze można było ratować, tych zaś, którzy zostali na promie, woda poniosła dalej.

Ludzie powznosili ręce do góry i wołali w niebogłosy: Ratunku! Ratujcie, kto w Boga wierzy! Na brzegach zgromadziły się tłumy przerażone i bezradne — kto zaś mógł, niósł osęki, albo liny, aby módz przyjść z pomocą tonącym. Fale niosły prom aż do mostu żarnowieckiego, a każdej chwili ludzi ubywało na promie, pełnym wody. Jedna kobieta utonęła na samym promie.

Dla ratowania tonących przywiązywano liny do drzew nadbrzeżnych i końce ich rzucano do wody, ale i ten środek okazał się bezskutecznym.

Ludzi zginęło w tej katastrofie, ile można było dotychczas obliczyć, przeszło 20. Żyd, dzierżawca promu i jego żona chwycili się słupa i ocaleli.

Ów nieszczęśliwy ojciec, który niemożność udzielenia pomocy córce tonącej, przepłacił życiem, nazywał się Jan Drogoń. Córka, widząc ojca na brzegu, wołała rozpaczliwie: „Tatusiu! tatusiu! ratujcie mnie"!! Nie umiejąc pływać i czując bezradność swoją, Drogoń, mężczyzna w sile wieku, mocny, jak dąb, runął na ziemię, aby z niej się już więcej nie podnieść.

Korespondent „Gazety narodowej" podnosi, że przewóz w Strzyżowie „niebezpieczny nawet w normalnych okolicznościach, wywoływał od niepamiętnych czasów skargi i wołania o most, bo to nie Chiny, ani Afryka środkowa, ale ustawicznie zwlekano. Urządzenie prymitywne, a łódki ratunkowej żadnej — tylko cena przejazdu normalna".

Liczbę tych, którzy utonęli, korespondent „Gazety narodowej" podaje na 50 osób. Wedle przytoczonych wyżej relacyi zdaje się, że liczba ta jest trochę przesadzona.

Skazany jenerał-policmajster. Z Petersburga donoszą, że senat uznał czynności naczelnika miasta, jenerał-lejtnanta Klejgelsa, ujawnione w odebraniu od nauczyciela tańców Dawinhofa deklaracyi, zabraniającej udzielania przez niego lekcyi tańców i w zdjęciu, za pośrednictwem policyi, znaków z domu — jako nierozważne i dające prawo Dawinhofowi do poszukiwania na naczelniku miasta 35.000 rb. strat w drodze wykonawczej.

Sprawa testamentu Liniewicza, zmarłego niedawno handlarza starożytności, wciąż zajmuje prasę petersburską. Liniewicz zapisał cały swój ruchomy i nieruchomy ma-

jątek, wynoszący około 200 000 rubli, siostrze swojej i ubogim krewnym, swoje zaś kontrakty dzierżawne ze zmarłym hr. A. S. Apraksinem zapisał rzymsko-katolickiemu Towarzystwu dobroczynności, zobowiązawszy je wszystkich pieniędzy otrzymanych z tych umów używać na potrzeby wskazanych pięciu przytułków.

Rzymsko-katolickie Tow. dobroczynności działa według ustawy, zatwierdzonej przez p. ministra spraw wewnętrznych w 1884 r., a sprawy Towarzystwa prowadzi zarząd, złożony z ośmiu osób, pochodzący z wyborów zebrania ogólnego. W przytułkach zaś, którym zapisał większą część „zrobionego w Petersburgu majątku" zmarły Liniewicz, znajduje się 40 staruszek i około 500 ubogich dzieci petersburskich, których utrzymanie nie obciąża wcale kasy miasta Petersburga.

W sprawie tej telegrafują dziś z Petersburga: „Tutejszy sąd okręgowy rozpatrywał wczoraj kwestyę testamentu zmarłego niedawno milionera Liniewicza. Zapisał on część swego majątku, przynoszącą dochodu rocznego 60.000 rub., rzymsko-katolickiemu Tow. dobroczynności w Petersburgu. Sąd okręgowy uchwalił nie zatwierdzać testamentu, dopóki nie zostanie rozstrzygnięta wniesiona przez spadkobierców zmarłego sprawa o zwalenie testamentu. Jak donoszą „Nowosti", J. E. ks. biskup krakowski, Puzyna, dowiedziawszy się o pokrzywdzeniu naturalnych spadkobierców, odesłał ofiarowany do katedry wspaniały żyrandol."

Liniewicz przez długi czas przebywał w Krakowie z dziećmi, które później wydziedziczył, twierdząc, że są nieprawego łoża.

Z humorystyki. Tradycyę dawnej humorystyki warszawskiej utrzymują jeszcze najbardziej „Kolce," gdy inne pisma, jak „Mucha" i przekształcony w salonowca „Kuryer świąteczny," poszły w kierunku satyrycznym, ostrząc swój dowcip na tematach chwili bieżącej.

Dawna jowialność i dowcip dla dowcipu częściej zdarza się w „Kolcach," mających za sobą 32 lata istnienia; w ostatnim numerze tego tygodnika znajdujemy całą wiązankę zabawnych artykułów i konceptów, pisanych prozą i wierszem, jak np. „Zwyciężył".

— Mój dziadek umarł w dziewięćdziesiątym roku życia — przechwala się jeden.

— Moja babka dożyła do okrągłych stu lat — odpowiada drugi.

— Phi!... — rzecze trzeci — moi dziadkowie jeszcze żyją!

Zagadka: Co to jest, co ciągle daleko wyjeżdża, a wciąż w miejscu stoi?

Rozwiązanie: Syoniści.

Oczywiście, Kostrzewski zawsze młody i niewyczerpany w swoich pomysłach, trzyma prym w szkicach humorystycznych, których nie potrzebowałby już wcale podpisywać, a poznawanoby go po właściwem zacięciu i charakterze. Tym razem dał znowu jeden z tych typowych swoich dowcipów w formie i treści. Stróż kamieniczny podnosi dzieciaka na ulicy do wysokości parterowego okna i powiada:

— No, obacz sobie bal bez okno!... — a mały Wojtek robi taką uwagę:

— O, rety, tatulku!... to widać, ze to państwo musieli się bić, bo te panie takie mają pocuchrane łby, a panom to znowuj na głowie mało co już włosów ostało!...

Ola 10 kopiejek. W dniu 5 lipca r. z. o szarej godzinie do mieszkańca wsi Dąby, błońskiego powiatu, Andrzeja Nowaka, zaszedł były jego parobek, 38 letni Adam Bąk i poprosił o nocleg. Nowak pozwolił Bąkowi pozostać i wniósł do izby dwa snopki słomy.

W nocy Nowakowa raptem się obudziła i zobaczyła przy świetle lampy, że od łóżka jej męża z podniesioną siekierą w ręku idzie do niej Bąk. Szybko więc zeskoczyła z łóżka, schwyciła za siekierę, usiłując ją wyrwać z rąk Bąka. Na krzyk Nowakowej obudziła się jej córka i rzuciła się matce na pomoc. W odpowiedniej chwili Nowakowa ratowała się ucieczką, lecz za jej przykładem poszedł i sam Bąk, pozostawiwszy siekierę w ręku Antoniny Nowakówny.

Wkrótce potem Nowakowa wróciła do izby z dwoma sąsiadami i zastała męża swego siedzącego nad wiadrem i zmywającego krew z głowy. W kilka chwil Nowak życie zakończył. Cała lewa strona jego czaszki była wprost zmiażdżona od uderzenia ciężkiem i tępem narzędziem.

Maryanna i Antonina Nowak podczas walki z Bąkiem poniosły lekkie rany na głowie i ramieniu i siniaki na powiece prawego oka.

Na rozprawie sądowej, odbytej onegdaj w Warszawie, Nowakowa zeznała, że nieboszczyk winien był Bąkowi 10 kop., a właściwie strącił mu je za to, że ten ospale i nieumiejętnie pracował i to było widocznie powodem zemsty Bąka. Podsądny na zapytanie przewodniczącego, co ma na swoje usprawiedliwienie, odrzekł: „Nowak, proszę wysokiego sądu, był mi winien półpięta rubla. Przecie ja także muszę żyć. Mam żonę i troje dzieci z czegobym ich wyżywił?"

Sąd skazał Bąka na pozbawienie wszystkich praw i zesłanie do ciężkich robót na lat dziesięć.

Biały mazur.

O godzinie 6 zrana z poniedziałku na wtorek, główny wodzirej na sutym balu, danym przez gościnnych i zacnych państwa Kawiorowskich, wyciągnął z kieszeni i zmienił w przedpokoju czwarty kołnierzyk, poczem powrócił do sali, klasnął w zdrętwiałe dłonie, i zawołał:

— Biały mazur, panowie, wszystkie pary!

W sali obudził się świeży, chociaż mocno sztuczny, atak ruchu i życia. Panowie we frakach, przyprószonych białą warstwą kurzu, dążą do tancerek, które mają bardzo zmięte suknie, kwiaty powiędłe u gorsu, zielonkawe twarze, oraz piękne, kolorowe, zaczerwienione oczy, nadomiar podkrążone sinawą obwódką.

— Wszystkie pary, z życiem, panowie!

Temperatura w sali podniosła się z 19 na 22 stopnie powyżej zera. Ruchy „wszystkich par" sprawiają wrażenie ucieczki ludności, zagrożonej wybuchem wulkanu.

W pierwszą parę sunie młody lekarz z główną buchalterką firmy Włodzimierzsohn i Sp., w drugą maszynista od pociągów pospiesznych z właścicielką gabinetu dentystycznego, w trzecią wicedyrektor fabryki kołysek mechanicznych z nauczycielką na pensyi panny Hedvigi Kukurydzky'ej, i tak dalej i tak dalej.

Po „wszystkich parach" następują figury z użyciem krzesła, kielicha z winem, grzebienia, rondla, pantofla pana domu i t. p.

— Buch ciuch, ciuch, wesolutko!

Mija w tańcu ochoczym godzina 7, po siedmnastej figurze wydzwoniła ósma.

Biały mazur skończony. Jaskrawe blaski słońca wdzierają się do sali. Goście żwawo i niespokojnie ruszają się ku wyjściu. Gościnny gospodarz zasłonił drzwi całą swoją opasłą osobą.

— Bez „strzemiennego" nie wypuszczę! Lecz dokąd wam się tak spieszy!

Słychać odpowiedź jednobrzmiącą:

— Do pracy codziennej!

I poszli, a jakże; uczestnicy pracy całonocnej wpadli do domu dla zamiany szat uroczystych na robocze, poczem każdy z nich zajął właściwy posterunek, z wynikami następującemi:

Lekarz, rozespany i nawpółprzytomny, przyszedł do szpitala, tu upatrzył sobie chorego z przewlekłego pijaństwa i... pośpiewując pod nosem: „trymdyrymdy, tra la la!" poprowadził pacyenta przemocą do sali operacyjnej, gdzie pomimo rozpaczliwej opozycyi tegoż, najspokojniej amputował mu nogę, aż do wysokości kolana.

Rozespana i nie władnącą sobą buchalterka, porwała wpół interesanta staruszka, przybyłego dla podniesienia 22 zlr. 30 ct. Po trzykroć w walcu okrążyła z nim salę wypłat i następnie, przez pomyłkę, doręczyła mu asygnacyę na odbiór z kasy sumy 2,654,986 zlr. 32 ct.

W chwilę po wyjściu interesanta, bank, jako doszczętnie zrujnowany, znalazł się w smutnej konieczności ogłoszenia bankructwa!

O wiele gorzej jeszcze spisał się maszynista pociągu pospiesznego. Przyszedłszy prosto z balu do remizy, rozniecił wielki ogień pod kotłem, przypiął parowóz do długiego szeregu wagonów przepełnionych podróżnymi, otworzył regulator dla większego ciśnienia pary, ruszył z szybkością 128 kilometrów na godzinę, przeciągnął się i zasnął.

We dwie godziny potem, najbliższy dróżnik przyniósł na stacyę garść proszku, wsypanego w pudełko po pigułkach.

Po bacznem zbadaniu wyjaśniło się, iż proszek zawierał szczątki pociągu pospiesznego i jego podróżnych, nie wyłączając maszynisty.

W tymże czasie, młoda dentystka wyrwała komuś ząb razem z językiem i kanałem przełykowym; wicedyrektor zaś sfabrykował sto tuzinów kołysek, które automatycznie wywracały się, kalecząc i zabijając niewinne niemowlęta.

Ze wszystkich jednak najbardziej karygodnem było zachowanie się nauczycielki z pensyi panny Hedvigi Kukurydzky'ej.

Wszedłszy do klasy, panna Zefiryna dostała przedewszystkiem płaczu serdecznego, przeplatanego migreną, spazmami i tężcem ogólnym na tle newrozy, hysteryi, anemii połączonej z błędnicą i t. d.

Niedomagania, nie powiem, aby trwały całą godzinę, ponieważ po upływie 55 minut, mademoiselle Zefiryna przyszła nieco

do siebie i przystąpiła do wykładu geografii:

— Kotylionia, moje panny, jest krajem oblanym od wschodu jeziorem polsko-mazurskiem, na zachód graniczy z wyspami kontredansowemi. Od strony północy ciągną się lasy galopadowe, od południa prowincya Piknik, której mieszkańcy od rana do późnej nocy tańczą zaciekle walca i żywią się majonezem, indykiem z czerwoną kapustą, oraz lodami wyrobu samej gospodyni.

Słysząc to właścicielka pensyi, wyrwała najpiękniejsze nioby i pukle ze swojej peruki, co naraziło ją na stratę około 16 zlr. 21 ct.

Żadna z katastrof zacytowanych nie nastąpiłaby, gdyby nasze sfery, na chleb pracujące zechciały zrozumieć, iż noc jest przeznaczoną dla snu, oraz, że „biały mazur" jest zabójcą prawidłowej cyrkulacyi spraw na świecie.

Z niedoli robotnika.

(Do ilustracyi tytułowej.)

Dola robotnicza nietylko u nas jest gorzką! Nie tylko u nas kapitał wyzyskuje, swego twórcę, tego biednego i pomiatanego robotnika, nietylko u nas głód, chłód i nędza zmuszają warstwy robotnicze do zdobywania sobie kawałka chleba w sposób nielicujący z godnością człowieka.

Nietylko u nas skarżą się na brak pracy. Dzienniki londyńskie, z których czerpiemy dzisiejszą ilustracyę, szeroko rozpisują się o niedoli i nędzy, która przygniata tysiące tamecznych robotników, gotowych każdej chwili do pracy choćby najcięższej, a niemogących pracy tej znaleźć zupełnie.

„Unemployed", bezrobotni, całemi gromadami przeciągają przez najbardziej ożywione ulice miasta, a każdy z nich dzierży w dłoni puszkę składkową, każdy prosi przechodnia, aby bodaj pół pensa wrzucił do tej puszki, aby bodaj tak marnym datkiem zechciał zmniejszyć ich nędzę!

Jak przykro czytać o tem, jak strasznie spozierać na to, gdy główna siła narodu, zamiast znaleźć tę pracę, o którą prosi, zmuszona jest wyciągać dłoń żebraczą i błagać o wsparcie!...

A wśród tych szarych, wynędzniałych postaci, co chwiejnym krokiem kroczą po ulicach Londynu, zobaczyć można poczerniałe od słońca i wichru twarze, pokiereszowane cięciami szabel; można zauważyć kaleków...

To obrońcy „interesów ojczyzny", bojownicy angielscy, oznaczeni przez dzielnych boerów. Były dla tych obrońców pieniądze, gdy interes ojczyzny — czytaj: kapitału i lordów! — wymagał ich krwi i ich dłoni, ale, gdy skończyła się wojna, dał im rząd kij żebraczy do ręki...

Evoe Bacche! można zawołać do dzisiejszych orgii nędzy i szaleństw miliarderów, na których niewidziana ręka losu pisze znane słowa zaguby: *Mane, Tekel, Fares!*...

(kr.).

Wiadomości polityczne.

* Wczorajsze posiedzenie rady państwa zaczęło się od... humorystyki, bo interpelacya wszechniemca Eisenkolba, który interesy Polski zestawił z kwestyą macedońską, zamiast dostać się, jako wstępny artykuł, do któregoś z pism humorystycznych, została odczytana publicznie, aby cały świat wiedział, że ociężałe, zalane piwskiem mózgi niemieckie czasami mogą zdobyć się na mimowolny humor, obierający ich samych za ofiarę drwinek.

Na interpelacyę tę nawet wszechniemieckie stronnictwo nie zwróciło uwagi i przystąpiono dalej do dyskusyi nad konwersyą renty, w której wyszło na jaw, że Austryi przysługuje prawo skonwertowania całego długu państwowego.

Ustawę o konwersyi, przyjęto w trzeciem czytaniu z uwzględnieniem nieznacznych poprawek, jakie wnieśli posłowie Menger i Derschatta.

Z kolei dziś przystąpi nareszcie Izba do debaty nad przedłożeniem rządowem, w sprawie reformy ustawy prasowej.

Odnośnie do ustawy o konwersyi długów donoszą telegramy, że minister skarbu, Boehm-Bawerk, nie będzie odwoływał się od uchwały Izby poselskiej do Izby panów, gdyż chce przyspieszyć konwersyę ze względu na obecne położenie polityki zagranicznej. Wskutek tego odbędzie się konwersya tylko na 4 procent.

Uchwała, co do zakresu operacyi, nie wymienia sumy 3.600 milionów, lecz upoważnia ogólnie do konwersyi obligacyi długu wspólnego. Wskutek tego minister może konwertować dowolną sumę, a zatem także 3.600 milionów.

* Macedonia staje się obecnie punktem grawitacyjnym w polityce zagranicznej wszystkich mocarstw, które bacznem okiem śledzą wypadki na półwyspie bałkańskim. Z Bułgaryi donoszą, jakoby w Zofii utrzymywało się wśród sfer rządzących przekonanie, że wojna z Turcyą jest nieunikniona, ale wiadomości te nie są pewne, bo z drugiej strony Bułgarya urzędowo zaprzecza doniesieniom obcych dzienników co do mobilizacyi swej armii.

Korespondent „Wiener Allgemeine Zeitung" zapewnia znów, że Grecya, ta sama Grecya, która przed paru laty toczyła z Turcyą krwawy bój o Kretę, dziś przyrzeka swej niedawnej jeszcze przeciwniczce pomoc w razie wybuchu wojny. Prezydent gabinetu Delyanis, miał wyrazić gotowość zorganizowania oddziałów greckich, które wystąpiłyby przeciw bandom macedońskim. Także Serbia zajmuje wobec Bułgaryi wrogie stanowisko, tak, że Bułgarya jest zmuszoną do skoncentrowania przeważnej części swej armii na granicy serbskiej.

Z Konstantynopola nadchodzą znów wieści, że w obrębie trzeciego korpusu armii tureckiej, salonickiego, stworzone będą niebawem dwa pułki kawaleryi w rodzaju piechoty konnej, a oprócz pięciu dywizyi, które stanowią ten korpus, ministerstwo wojny skreuje jeszcze jedną pełną i lepiej uzbrojoną dywizyę.

A zatem, mimo zaprzeczeń urzędowych i półurzędowych, zbroi się półwysep Bałkański!

* Petycya boerów, którą doręczył Chamberlainowi Dewet, zawierała dziesięć poszczególnych punktów. Boerowie skarżą się w nich na nie dotrzymanie warunków ugody, zawartej w Vereeniging. Władze angielskie nie nadały dotąd protokołowi ugodowemu prawomocności ustawodawczej i dlatego zdarzyło się, że sądy odrzuciły wdrożenie pewnego procesu, który na podstawie protokołu ugodowego był konieczny. Pogwałcono dalej ugodę pokojową tem, że wzbroniono powrotu rozmaitym rodzinom boerskim. Administracyę wychowawczą i kolejową scentralizowano bezprawnie, powstańców z Przylądka Dobrej Nadziei dotąd nie ułaskawiono. Petycya domaga się dalej wdrożenia śledztwa w kwestyi rozmaitych boerów, których zdaniem opinii publicznej skazano niesłusznie na kary więzienne, i wypełnienia rozmaitych materyalnych zobowiązań. Petenci, doręczając petycyę Chamberlainowi, zaznaczyli, że poruszyli jedynie najwięcej palące kwestye niezadowolenia pomiędzy boerami a anglikami. Boerowie będą dopóty nieprzyjaciółmi anglików, dopóki nie usunie się rozmaitych spraw, które muszą w nich podsycać przekonanie, że traktuje ich się po macosznemu. Dotąd uczyniono bardzo mało w kierunku zagwarantowania dzieciom boerskim odpowiedniego wychowania szkolnego, a co uczyniono, to zakrawa na to, jakby zamierzano w nowem pokoleniu zaszczepić ducha angielskiego. Administracya kraju spoczywa w rękach ludzi, którzy nie znają ani języka kraju, ani zwyczajów i obyczajów ludności.

Chamberlain był tak petycyą, jak ustnymi wywodami Deweta ogromnie oburzony. Oświadczył, że Dewet, podpisując protokoł pokojowy, chyba nie wiedział, co podpisuje, inaczej nie zarzucałby władzom angielskim naruszania zawartych w nim warunków i nie buntowałby ludności. Protokoł pokojowy nie wymaga żadnego uprawomocnienia krajowego, bo wykonanie tego, na co wzajemnie się zgodzono, jest rzeczą honorową każdego powodu. Nie anglicy, ale Dewet i jego obecni stronnicy łamią warunki pokojowe, skoro śmią czynić wyrzuty rządowi angielskiemu. Rząd angielski czyni zdaniem Chamberlaina dla boerów więcej, niż dawniejsze rządy za czasów ich niepodległości.

Z taką oto szorstkością zbył Chamberlain deputacyę boerską. Nieszczęśliwy szczep ma teraz dostateczny przedsmak tego, co go czeka w przyszłości w roli ujarzmionego narodu.

Telegramy „Kuryera Krakowskiego"

z dnia 13 lutego.

Lwów. W jednym z hoteli przy ul. Batorego usiłował wczoraj wieczorem odebrać sobie życie przez zażycie znaczniejszej dozy kwasu azotowego 60-letni Leon Witoszyński, który onegdaj przybył z Krakowa. Pogotowie ratunkowe odwiozło desperata do szpitala. Powodem targnięcia się na własne życie ma być brak środków do życia.

Wiedeń. „Fremden-Blatt" donosi: Konferencye z grupą rotszyldowską połączonych banków wiedeńskich i ministerstwa skarbu, prowadzone celem ustalenia wspólnego postępowania przy zbliżającej się konwersyi renty, doprowadziły do zupełnego porozumienia co do mającego przypaść poszczególnym członkom udziału. Ułożono się, że udział dla grupy rotszyldowskiej wynosić ma $67^1/_2$ %, dla grupy zaś banków wiedeńskich $32^1/_2$ %.

Wiedeń. Wczoraj wieczorem przybył tu z Żywca arcyksiążę Karol Stefan z powodu zasłabnięcia jego matki arcyksiężnej Elżbiety.

Belgrad. Król Aleksander nadał austrowęg. posłowi, bar. Heidlerowi, order „Takowy".

Madryt. Królowa matka, Krystyna, wraz z córką infantką, Teresą, odjechały wczoraj do Wiednia.

Obie linie telefoniczne do Wiednia dziś są znów przerwane!

Redaktor odpowiedzialny i wydawca:
Kazimierz Bartoszewicz.

NADESŁANE.

(Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi i Redakcya nie przyjmuje za nią żadnej odpowiedzialności).

Drukarnia A. Koziańskiego w Krakowie.